

Urszula Koziół

Z POCZEKALNI

GENEZA PEWNEGO NIEWYPAŁU

Osobny śnił, że przyniósł do Gapowni wiersz.
– Co tu tak tyka? – spytał gap naczelny.
– Wiersz.
– Ale dlaczego on tak tyka?
– Bo jest nastawiony na czas – wyjaśnił Osobny skromnie.
– Bomba – zawyrokowały Gapy, osłuchując tykający wiersz. – Ale bomba!
Jednakże wystarczyło, żeby Gap-Saper pomajsterkował chwilę przy tykającym tekście, by rzekoma bomba zmieniła się w sflaczały niewypał.
– Co widzę! – zatarł ręce naczelny Gap. – Czyżby Osobny raczył nas wreszcie papierowym budzikiem?
– Ach, to Gap-Saper wypuścił z niego czas – wymamrotał Osobny.
Gapy przyłożyły skwapliwie ucho do wiersza i rzeczywiście usłyszały w jego środku przeciągły syk; to właśnie wypuszczany czas uchodził z podobnym sykiem ze słów.
– Już nie tyka! – ogłosił pierwszy Gap.
– Przestał chodzić! – zawołał drugi.
– I obchodzić – przyświadczył trzeci.
– Znakomicie! Teraz możemy go puścić! – zadecydował Gap naczelny i uśmiechając się rozbijając zaprosił Osobnego do dalszej owocnej współpracy.
(z powtórka, 1975)

O ZDANIU

W zamojskim liceum humanistycznym ścigałyśmy się z przyjaciółkami na wychwytywanie z lektur pojedynczych zdań, np. Ogary poszły w las (Żeromski, Popioły), Wonną różą opędzała się od końskiego zapachu (Samozwaniec, Na ustach grzechu), Myśmy przeszli odrę, a oni byli świeżo po szkarlatynie. I ciągle nam tą szkarlatyną wykluwali oczy (Nowakowski, Przylądek Dobrej Nadziei). I tak dalej w tym stylu. Ja także lubię pisać jakieś jedno zdanie i puszczając je na wodę, patrzę, czy fala szybko je rozmyje. Ot, np. takie zdanie: Tego roku z końcem października nastąpił nagły i nader obfity wysyp żółtych liści. Oto jak się rzeczy mają, kiedy do władzy dorwie się damski bokser. – Tutaj, Czytelniku, możesz dopisać swoje zdanie, o ile takie swoje zdanie o czymś czasami miewasz.

O NASZYM LUDWIKU

Z końcem października zmarł w Paryżu „nasz” **Ludwik Flaszen**, związany nie tylko z redakcją „Odry”, ale także z mieszkaniem kilkorga z nas, bo więzi te z nim nie ustały, nawet wtedy, kiedy Grotowski zagarnął na własność jego cięte, trafne i zawsze wnoszące świeżość spojrzenia na ten nasz świat pióro. Nie ustały też, kiedy po śmierci Grotowskiego wyprowadził teatr, który był ich wspólnym dziełem, do Francji, ale nie zatrzaskiwał furtek z Wrocławiem, firmował zgodę na to, żeby tu działał nadal Instytut Grotowskiego, jeszcze tu do nas przyjeżdżał, jeszcze gadaliśmy z nim i nie mogliśmy się z nim nagadać do woli. A poznałam go w Opolu. Lech Terlecki związany z pismem (i generacją) „Współczesność” namówił mnie, żebym z nim pojechała na spektakl Teatru Trzynastu Rzędów w Opolu, który wystawiał Kordiana w psychiatryku! Na miejscu okazało się, że to wcale nie jest epatowanie burżujów, tylko niesłychanie odkrywczy i świeży punkt widzenia na losy samego Kordiana i narodu, zrywającego się do nierównej walki z zaborcą. Firmującym teatr – obok Grotowskiego – był Ludwik Flaszen, który należał do głośnej grupy wychowanków Kazimierza Wyki razem z Janem Błońskim, Andrzejem Kijowskim i Konstantym Puzyną – a były to prawdziwe tuzy w środowisku nie tylko UJ, głośno było o nich w całym kraju, spod ich pióra w pismach literackich i publicystycznych, także uczelnianych, sypały się iskry! Tak byli błyskotliwi, odkrywczy, gdy trzeba było – sarkastyczni, ironiczni, prześmiewczy – kiedy to było potrzebne do podmieniania nieznośnej wzniosłości i górnolotnych zdań. Byłam pod wrażeniem. W tym czasie (krótko!) byłam dyrektorem Domu Związków Twórczych w Rynku (tu, gdzie teraz jest OKIS i nasza redakcja). Jednocześnie działałam społecznie w zarządzie wrocławskiego ZLP, w którym działał także Zbyszek Kubikowski (ówczesny naczelny „Odry”), i kiedy on wpadł na pomysł, żeby Teatr Trzynastu Rzędów ściągnąć do Wrocławia, przyłączyłam się do tej inicjatywy, a kiedy władze wrocławskie zaczęły się wymigiwać, że nie ma dla teatru stosownego miejsca na siedzibę, razem z Kubikowskim – on jako reprezentant wrocławskiego ZLP, ja jako dyrektorka DZT – zaproponowaliśmy teatrowi

salę, gdzie odbywały się „Czwartki literackie”, oraz pomieszczenia biurowe. Grotowski, jak to Grotowski, natychmiast przemalował naszą salę na czarny kolor i zajmował ją od rana do nocy (ćwiczenia, spektakle), tak że – siłą rzeczy – wyprowadziliśmy „Czwartki literackie” ZLP do Klubu Muzyki i Literatury prowadzonego przez Stefana Placka, ale głównym miejscem spotkań pisarzy, aktorów, plastyków, muzyków i architektów pozostawał Dom Związków Twórczych – skąd był żabi skok do Uniwersytetu Wrocławskiego, a pomiędzy tymi dwoma przystaniami znajdowało się ówczesne mieszkanie moje i Feliksa (należało do państwa Cieślikowskich, ale kiedy prof. Stefania Skwarczyńska zaproponowała Teresie Cieślikowskiej pracę na łódzkiej uniwersytecie, zostawili to mieszkanie pod naszą opieką). Nazywaliśmy to mieszkanie tratwą (chwiało się z lekka, na szczęście sufit podpięrały sosnowe bale, brakowało tylko żagli. Za to w drugim pokoju w kącie brakowało kawałka podłogi, to znaczy ona niby jeszcze była, tylko zwisała z rezygnacją jak dłoń – dając zarazem przejście dla dusznych woni bigosu gotowanego piętro niżej). Mieszkaliśmy przy placu Nankiera w narożnej kamienicy vis-à-vis Urszulanek – obok była wąziutka ulica wiodąca na targowisko, a po jej drugiej stronie, tu, gdzie teraz znajduje się Domek Romański, piętrzyła się ruina kilkupiętrowej kamienicy (jej opis zamieściłam w wierszu Ucieczka z Egiptu, no i w szóstym rozdziale Ptaków dla myśli, w których Ludwik Flaszen pojawia się jako Misza). To mieszkanie stało się przystanią dla kilkorga zacnych osób, które występują w tym jednym rozdziale pod zmienionymi zresztą imionami (bo tu na 308 stronach rozgrywa się pewne przesłanie, pewna przypowieść – tym miejscem jest Italia począwszy od ogro-

dów Boboli we Florencji po tereny przylegające do Pompejów). Z naszych okien przy Nankiera widywaliśmy bezprizornych, którzy w ciemnościach ruiny balansowali na chybottliwych deskach... Ten rozdział wrocławski pojawił się pod formą retrospekcji jednego spośród mieszkańców, który błąkał się sam po rzymskich ruinach. Tak działo się, kiedy wszystkim było po drodze do Rynku, do Domu Związków Twórczych; mogli zaczepić o Uniwersytet, wgramolić się po schodach na tratwę i dobrnąć do pokoiku ogrzewanego brykietami palonymi w żelaznym piecyku z rurą, nazywanym kozą, gdzie rozwaliwszy się gdzie bądź, toczono niekończące się rozmowy o wszystkim i niczym. A kiedy z biegiem lat otrzymaliśmy nasze pierwsze we Wrocławiu własne mieszkanie (blisko kościoła na Kruczej w odległości kilkunastu domów, w których mieszkali Flaszenowie, Łukasiewiczowie i Orscy), widywaliśmy się niemal codziennie raz tu, raz tam. A kiedy (już w stanie wojennym) Flaszenowie zamieszkali w tym samym bloku co Orscy, blisko zajezdni tramwajowej na Popowicach, a opodal nich – Łukasiewiczowie – wtedy my z Feliksem dojeżdżaliśmy do nich, i w ramach tradycyjnych rytuałów pożegnalnych (a już dobrze nam się kurzyło w czuprynach) wydzieraliśmy się ku uciesze taksówkarzy, śpiewając gromko i unisono: A kto powie / że Moskale / to są bracia / nas Lechitów / temu pierwszy w łeb wypalę / pod kościołem karmelitów! Zanosząc przez kilka dni pod zamknięty na głucho Instytut Grotowskiego światelka i stawiając je na progu wiodącym do wspaniałej Czytelni, sporządzonej tu fachowo z księgozbioru Ludwika Flaszena – ujrzałam go śpiewającego wraz z nami donośnym głosem.

Urszula Koziół



Ludwik Flaszen, mieszkanie na Zaolziańskiej.
Fot. Urszula Koziół